

„Człowiek prawdziwie wierzący nie może być nie-szczęśliwy” – rozmowa z Astrid Gotowt

„A true believer cannot be unhappy” – A Conversation with Astrid Gotowt

Trudno wyobrazić sobie inny początek rozmowy z wieloletnią Sekretarzą Redakcji Gdańskiego Rocznika Ewangelickiego niż pytanie o GRE, bo przecież każda strona z wielu tomów kryje duży ładunek Pani pracy. Proszę o wrażenia, proszę o wspomnienia.

Cóż... pracę w GRE podjęłam od drugiego numeru rocznika, a zakończyłam na dwunastym. Poza sprawami organizacyjno-administracyjnymi, adiustacja i korekta tekstów były wielkim wyzwaniem, ponieważ w tej dziedzinie miałam doświadczenie niewielkie. Poprzednio zajmowałam się tylko w latach 2000 – 2004 „Diasporą” – rocznikiem wydawanym przez Diecezję Pomorsko-Wielkopolską naszego Kościoła. Było to pismo o charakterze kalendarza-informatora, ale oprócz wiadomości o wydarzeniach, jakie miały miejsce w diecezji, zawierało również artykuły. Poza tym w czasie mojej pracy zawodowej zajmowałam wydawnictwem „Research Directions”, zbierającym informacje o publikacjach pracowników wszystkich wydziałów Uniwersytetu Mikołaja Kopernika.

W porównaniu z GRE, naprawdę nie były to wielkie rzeczy. Właściwie, zwłaszcza w początkowych latach, tylko dzięki wielkiej wyrozumiałości i pomocy Profesorów Janusza Małłki i Tadeusza Stegnera, którzy bardzo delikatnie doradzali, zwracali uwagę na istotne kwestie, toczyła się ta praca i ukazywały się kolejne roczniki.

To bardzo skromna odpowiedź, bardzo skromna. Czy Pani zdaniem GRE ma jakąś misję?

Oczywiście, tak. Dlatego zgodziłam się pracować w GRE. Jestem przekonana, że jego misją było i jest zapoznawanie, nie tylko wyznawców, ale także

środowiska, w którym istnieje nasz Kościół, z historią ewangelicyzmu, z dokonaniami ewangelików. Chodzi także o to, aby nasz Rocznik przybliżał jak najszerszemu gronu odbiorców ideę Kościoła, ideę Reformacji, ideę ewangelicyzmu.

A przybliżyć?

Myślę, że na początku, gdy było to czasopismo na dobrym poziomie popularnym, znajdowało naprawdę ogromny krąg odbiorców, było bardzo chętnie czytane. Potem coraz bardziej ewaluowało w stronę czasopisma naukowego i teraz jest cenione w tym obszarze, zajmuje prestiżowe miejsce na liście czasopism punktowanych, ale w pewnym stopniu oddala się od pierwotnej idei popularyzowania ewangelicyzmu. Niemniej, chociaż cel popularyzatorski nie jest już tak eksponowany, wiele osób czyta, wiele osób dopytuje się o GRE. Na przykład ostatnio rozmawiałam z moim dawnym szefem, Rektorem prof. Markiem Zaidlewiczem, który ceni też „Kalendarz Ewangelicki”, regularnie czyta GRE i zauważa, że coraz mniej jest informacji o samym Kościele, informacji o sprawach współczesnych albo nie tak odległych w czasie, powiedzmy z wieku XX. Więc tymczasem zaproponowałam mu wspomnienia bpa Jana Szarka, żeby nieco przybliżyć powojenną sytuację naszego Kościoła i kłopoty, z jakimi borykał się w kolejnych latach.

Czy rzeczywiście istnieje taka alternatywa: prestiż naukowy lub popularność?

Myślę, że możliwy jest kompromis. Świadczą o tym publikowane już w GRE artykuły o historii niektórych parafii, na przykład artykuł o parafii w Białymstoku, przedstawiający historię całego środowiska ewangelickiego w Białymstoku i okolicach. Był to tekst bardzo ciekawy, a zarazem – co podkreślał nasz wieloletni stały recenzent prof. Mieczysław Wojciechowski – zawierał cenne informacje źródłowe, porównawcze. Wprawdzie o wydarzeniach bieżących mówi w GRE Kronika Parafialna, a pewne epizody z najnowszej historii pojawiają się w rozmowach z gdańskimi i toruńskimi ewangelikami, niemniej wydaje mi się, że wiele tekstów mogłoby, nie tracąc charakteru naukowego, zyskać szerszy odbiór, gdyby nie były one pisane językiem hermetycznym, dostępnym dla wąskiego grona specjalistów z danej dziedziny...

Rozumiem. Czego życzyłaby Pani, co radziłaby Pani GRE na przyszłość?

Życzyłabym. Rada Naukowa składa się z tylu znakomitości, że dawanie porad byłoby nie na miejscu, ale życzyłabym, żeby Rocznik, po pierwsze, docierał do bibliotek, nie tylko tych, które mają prawo do egzemplarza obowiązkowego, ale i do wielu innych, do muzeów, które zbierają też źródła... Pamiętam, że Muzeum w Mrągowie bardzo sobie ceniło kolejne Roczniki, które

otrzymywało z „rak prywatnych”. Podobnie biblioteki publiczne, na przykład w Giżycku czy Mrągowie, bardzo chętnie GRE przyjmowały i często wypożyczały. Po drugie, życzyłabym czytelnikom szerszej panoramy najnowszej historii współczesnego polskiego ewangelicyzmu. Widziałabym też ciekawe wspomnienia ludzi związanych z Kościołem, niekoniecznie duchownych, a zaangażowanych świeckich – wspomnienia wzbogacone ciekawymi materiałami źródłowymi.

Ostatnio czytałam wspomnienia profesor Jadwigi Puciaty-Pawłowskiej. Osoba, która je opracowywała, dr Alicja Saar-Kozłowska, wzbogaciła tekst o życiorysy osób, z którymi autorka wspomnień była związana, o różne wydarzenia towarzyszące, w których sama profesor Puciata-Pawłowska nie brała udziału, ale które były istotnym kontekstem jej życia. Myślę, że to bardzo ważne, aby nie odchodziła w niepamięć nasza najnowsza historia, niełatwa zresztą.

W takim razie to dobrze, że rocznik ewangelicki ze słowem „gdański” w tytule staje się, przynajmniej w obszarze czasopism naukowych, swoistym ambasadorem historii polskiego ewangelicyzmu i myśli teologicznej...

Tak, a jednak wypatrywałabym więcej artykułów o tematyce lokalnej – gdańskiej, pomorskiej. Są to przecież tereny, na których Reformacja rozwijała się od pierwszej połowy XVI wieku, więc jej tradycje są bardzo silne, mimo że wielu ewangelików po II wojnie wyemigrowało. Pozostały przecież ślady – i kościoły, i cmentarze, i wkład w rozwój gospodarczy tych ziem. Są to dzieje ciekawe i aż prosiłoby się, aby je utrwać.

Zapewne w czasie wieloletniej Pani pracy w GRE zdarzały się teksty, które wykraçały poza ważne i żmudne wypełnianie obowiązków redaktorskich, bo ich lektura dostarczała szczególnej satysfakcji, radości, a może olśnienia...

Oczywiście, były takie teksty. Nie sposób wszystkich tu wymienić. Zawsze z zainteresowaniem „prywatnym” czytałam bardzo interesujące artykuły prof. Tadeusza Stegnera. Ceniałam też artykuły dr Lucyny Żukowskiej za rzetelność merytoryczną i klarowną formę. Natomiast rzeczywiście olśnieniem był dla mnie artykuł prof. Kaliny Wojciechowskiej¹, który prezentował cały wywód językoznawczy dotyczący formuły absolucji, a konkluzją było ujawnienie jej sensu, że władza odpuszczania, która została dana uczniom, nie polega na sądzeniu i wykluczaniu, lecz na głoszeniu dobrej nowiny i włączaniu we

¹ K. Wojciechowska, *Odpuścić grzechy, zachować wiernych (J 20,23)*, „Gdański Rocznik Ewangelicki”, vol. VII, 2003, s. 195–206.

wspólnotę, że jest to kontynuowanie misji Jezusa. Było dla mnie czymś niesamowitym to, że można przeprowadzić taki językoznawczy proces śledczy i wydedukować, na podstawie form gramatycznych, semantyki itp., pierwotny sens myśli wyrażonej słowami.

Ze wstydem muszę przyznać, że miałam grono ulubionych autorów – poza wyżej wymienionymi należeli do niego jeszcze prof. Janusz Mallek, prof. Wojciech Gajewski, dr Paweł Matwiejczuk...

A więc do różnych Pani zainteresowań i pasji, o których za chwilę będziemy rozmawiać, trzeba dodać filologię... Dla współczesnego młodszego pokolenia może być zaskakujące, że chemik zajmuje się z sukcesem redakcją humanistycznego czasopisma. Jakie inne Pani umiejętności przydatne były w tej pracy?

Myślę, że po pierwsze bardzo pomocna była szkoła z czasów mojej młodości – i podstawowa, i liceum. Wielki nacisk kładziono wówczas na język polski, na czytanie lektur, na dyskusje, ale też „wypilowywano” dosłownie gramatykę, żadnego błędu ortograficznego, składniowego czy też stylistycznego nie puszczano płazem.

Czy to znaczy, że do przeszłości należy czas, gdy dobre wykształcenie ogólne oznaczało jednocześnie wysokie umiejętności językowe, znajomość struktur języka i głębokiego rozumienia sensów, które się w nim kryją? Czy – jako czytelniczka i redaktorka wielu tekstów współczesnych – zauważa Pani zmiany w kondycji językowej Polaków?

Niestety, zauważam i bardzo mnie bolą. Bywam osobą niecierpliwą... pamiętam, że aż ponosiło mnie, gdy czytałam tekst, w którym w siedmiu kolejnych wierszach ośmiokrotnie powtarzało się wyrażenie „w kontekście”. W tekstach różnych czasopism naukowych i popularnonaukowych zauważam dość często ociężałość języka, nieumiejętność unikania powtórzeń, nieporadną budowę zdań, nieraz chaotyczność kompozycji, a o języku mediów publicznych nie wspomnę.

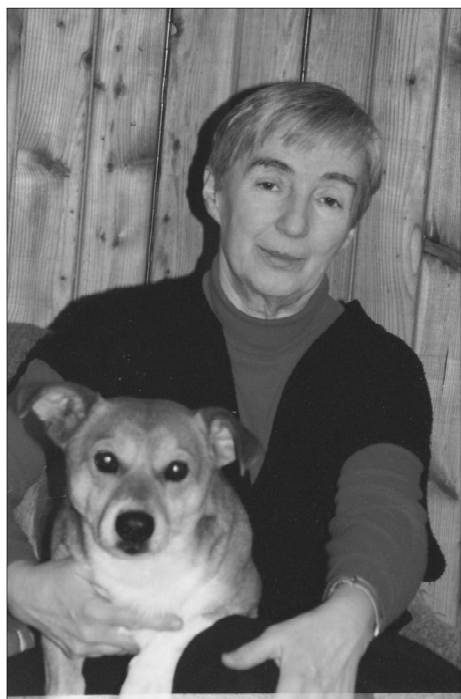
Pracuję teraz w firmie, której szef, przynajmniej raz w roku, musi zatrudnić kilku nowych pracowników. Odbywa się rekrutacja, a pierwszym zadaniem kandydatów jest odebranie wiadomości telefonicznej i sporządzenie z niej krótkiej notatki. Okazuje się, że spośród dziesięciu kandydatów tylko jeden potrafi napisać porządną notatkę, z której można się dowiedzieć, o co w informacji telefonicznej chodziło.

Wiec po pierwsze, Pani umiejętności językowe ukształtowała po prostu dobra szkoła. A po drugie...?

Oprócz tego zawsze byłam ciekawa wielu rzeczy, ciągle się czymś pasjonowałam, a tym pasjom towarzyszyło czytanie. Przy okazji zdobywania nowej

wiedzy poszerzał się słownik i pogłębiały umiejętności językowe, ale wtedy wydawana literatura czy to naukowa, czy popularna była poddawana wnikliwej korekcie. Teraz byłabym ostrożna w poleceniu takiej metody.

Więc była epoka biologii, potem była epoka ochrony środowiska, która nawet zaowocowała pracą w Straży Ochrony Przyrody, potem nadeszło zafascynowanie architekturą, ale głównie gotycką, potem historią sztuki...



Fot. 1. Astrid Gotowt z wieloletnim przyjacielem, psem Midasem.

...to widać. Pani urokliwe, kameralne mieszkanie jest przecież małym salonem sztuki. Podziwiam tę kolekcję malarstwa, o różnej tematyce i stylistyce. Skąd pochodzą zbiory?

Z różnych źródeł. Jeden, na który spoglądam zaraz po przebudzeniu, jest prezentem od Ojca. Kilka prac jest autorstwa męża mojej siostrzenicy, Piotra Bubaka, który jest malarzem. Są to dwa pejzaże, dwa pastisze: Ajwazowskiego i kogoś ze szkoły Rembranta, akwarele i jeden obraz z jego serii „Strachy”. Inne to pejzaż miejski – praca Janusza Maszkiewicza. Portret żydowskiego mędrca, który tułał się w piwnicy, jest studentkim dziełem mojego sąsiada, artysty malarza, Jacka Pomierskiego, mieszkającego obecnie w Hamburgu. Akwarele, na których widnieje mój wieloletni przy-

jaciół, pies Midas, to dzieło Sary Tomczyk. Z kolei te abstrakcje o niezwyklej fakturze i kolorystyce znalazłam... na śmietniku. Na moim osiedlu mieszkał artysta-malarz, inż. Stanisław Soloniewicz. Osoba, która likwidowała mieszkanie po jego śmierci, wyniosła kilkadziesiąt jego obrazów na śmietnik. Kilka ocaliłam...

A są niezwykle... Jaka dziedzina była kolejną pasją?

Można by powiedzieć, że teologia, ale raczej było to zafascynowanie Biblią, w takim sensie, że zaczęłam odkrywać w niej, jaki naprawdę jest Bóg. Miałam dosyć marne o tym wyobrażenie. Do confirmacji przygotowywał mnie ksiądz Edward Szendel, który przeżył Dachau. W jego nauczaniu – tak przynajmniej je wtedy rozumiałam – Bóg był kimś, kto ciągle śledził i czyhał na

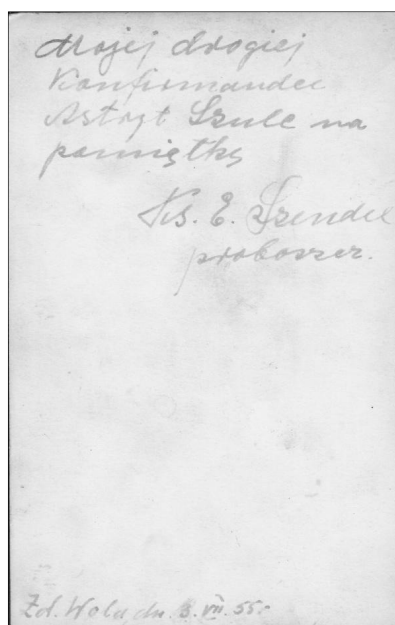
każde moje spotkanie z powodu pokus szatańskich, a perspektywą było piekło. Lektura Biblii tak mnie pochłonęła, że zapisałam się do dwuletniej zaocznej szkoły biblijnej, która on line nadawała wykłady z CME w Dzięgielowie.



Fot. 2. Konfirmanci, Zduńska Wola, 1955 r. (Astrid w drugim rzędzie, druga z prawej).

Co dwa tygodnie jeździliśmy, Ania Kraśkiewicz i ja, do parafii w Mrągowie. Atmosfera była niezwykle sympatyczna. Pastorstwo bardzo życzliwie przyjmowali „intruzów”, zajęcia odbywały się w ich salonie. Pani Pastorowa dbała o strawę, nie tylko duchową, bo zajęcia trwały cały dzień, z godziną przerwą na obiad. Kiedy nadszedł czas egzaminu końcowego, żalowałam, że zajęcia się skończyły. Było to w 2006 roku.

Tak wiele pasji łączyła Pani z pracą zawodową chemika. O specyfikę tej właśnie dziedziny chciałabym teraz zapytać. W latach sześćdziesiątych osiągnięcia chemii jednoznacznie kojarzono z wielkim postępem. Patrząc z perspektywy dzisiejszej, można mieć wątpliwości, czy te uniesienia były uzasadnione. Myślę zwłaszcza o inwazji tworzyw sztucznych i obecnym kłopotcie z nimi...

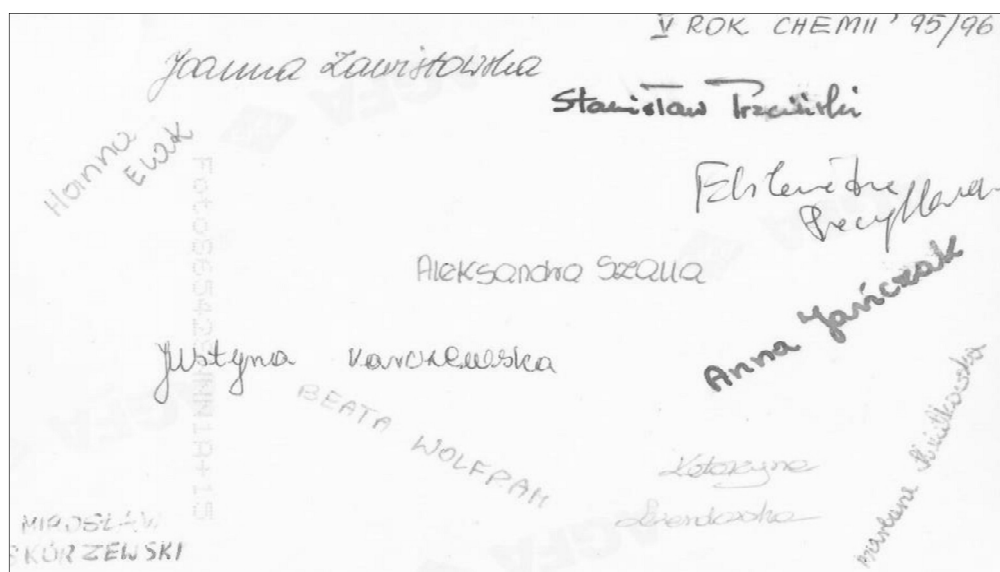


Fot. 3. Dedykacja konfirmacyjna.

Właśnie... tworzywa sztuczne, nawozy sztuczne, barwniki i wiele innych produktów traktowano spektakularnie. W tej chwili problemem jest recykling czy unieszkodliwianie, zwłaszcza tworzyw sztucznych, powodujące emisję do atmosfery, do wód, wielu substancji szkodliwych.



Fot. 4. Przed wejściem do Zakładu Chemii Ogólnej Uniwersytetu Mikołaja Kopernika (Astrid Gotowt pierwsza z lewej).



Fot. 5. Magistranci...

Kiedy przez pewien czas zajmowałam się też tworzywami sztucznymi, chodziło o to, żeby były one jak najbardziej trwale, stąd teflon okrzyknięto

ósmym cudem świata. Znacznie później zaczęto myśleć o komponowaniu polimerów z takimi dodatkami, w takiej technologii, żeby były, stosownie do przeznaczenia, jednak degradowalne i nie obciążały środowiska naturalnego.

Na szkoleniach z ochrony środowiska uzmysłowiono nam, jak bardzo poważny jest to problem. Przytoczono przykład Izraela, gdzie duże arealy upraw prowadzono pod folią z tworzyw sztucznych. Nie było pomysłu, jak się tego pozbyć. Dwa lata temu, będąc w Izraelu, też widziałam takie pola, ale to już są inne polimery, inne tworzywa sztuczne – dające się degradować i bardziej przyjazne dla środowiska.

Czy rzeczywiście w czasach euforycznego rozwoju przemysłu chemicznego nie pojawiła się refleksja na konsekwencjami?

Dopiero po pewnym czasie. Na Zachodzie wcześniej, już na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych zauważano, że tworzywa będą problemem.

W Polsce nie skorzystano z tych ostrzeżeń...

Wydaje mi się, że nie było na ten temat powszechnej wiedzy, a poza tym zachłystnięcie się w latach siedemdziesiątych doganianiem Zachodu nie sprzyjało temu.

Być może, jako członek wielkiej rodziny chemików, czuła się Pani w pewien sposób odpowiedzialna za skażenie globu i posypawszy głowę popiołem, zaczęła się zajmować ochroną przyrody?

No tak, zaczęłam pracować w Straży Ochrony Przyrody. Naprawdę widziałam taką konieczność.

Straż Ochrony Przyrody wyrosła z kilku organizacji, m.in. z Ligi Ochrony Przyrody, Polskiego Związku Łowieckiego, Polskiego Związku Wędkarskiego. Patronowała nam Dyrekcja Lasów Państwowych. Współpracowaliśmy też z laboratorium Wodociągów i Kanalizacji, ponieważ ono miało odpowiedni sprzęt, a nasza wówczas ośmioosobowa grupa skupiała się na badaniach zatrucia wód. Sprawa dla Torunia była bardzo ważna, gdyż powstawały wtedy coraz to nowe fabryki, które potrzebowały wiele wody. Nie starczało jej z ujęć głębinowych i korzystano z ujęcia wody powierzchniowej, z rzeki Drwęcy.

Jakie były skutki tego ruchu pasjonatów?

Wówczas nasze raporty, wskazujące źródła zatrucia wód, były ignorowane. Żadnych konsekwencji wobec „trucicieli” nie wyciągano. Liczyła się produkcja, wydajność, oszczędności. Na przykład wybudowano mleczarnię, ale „zaoszczędzono” na oczyszczalni ścieków.



Fot. 6. Legitymacja Strażnika Ochrony Przyrody.

W tym czasie nie mieliście jeszcze wsparcia mediów, dziennikarzy?

Nie. To przecież były czasy cenzury.

A dziś?

Teraz przemysł tak bardzo obciążający środowisko zniknął z okolic Torunia. Nie ma fabryki nawozów fosforowych i kwasu fosforowego, nie ma Elany, która produkowała włókna poliestrowe, część zakładów przeniosła się do strefy ekonomicznej poza Toruń, a pozostały przemysł już szczęśliwie nie zużywa takich ilości wody ani nie wytwarza tak toksycznych ścieków. Ujęcie wody na Drwęcy jest wystarczające dla przemysłu, a miasto otrzymuje wodę głębinową, pyszną, naprawdę świetną. Oprócz tego Toruń się wzbogacił o oczyszczalnię ścieków z prawdziwego zdarzenia: mechaniczną, chemiczną i biologiczną, więc tak oczyszczone ścieki komunalne można spokojnie do Wisły wprowadzić. Nawet są już i ryby w Wiśle.

To budujące. Czy można rzecz całą podsumować takim paradoksem, że chemia jako nauka i dziedzina inspirująca przemysł w tej chwili sprząta po sobie, naprawia swoje błędy?

Częściowo tak. Powinna to przynajmniej robić i to w jak największym zakresie. Ale też pamiętajmy, że tworzywa sztuczne okazują się potrzebne w wielu dziedzinach, począwszy od statków kosmicznych, a na medycynie i cienkich rajstopach skończywszy. Każda rzecz może mieć różne zastosowania, a sztuką jest przewidywanie konsekwencji i umiejętność zapobiegania tym niechcianym.

Życzymy sobie, żeby modne i bujnie rozwijające się dziedziny współczesności umiały takie konsekwencje przewidzieć. Pani zaangażowanie społeczne dotyczyło nie tylko ochrony przyrody. Proszę, aby opowiedziała Pani o swej pracy w Solidarności.

To nie było nic wielkiego. Wcześniej zapisałam się do nowego związku zawodowego, bo – najogólniej mówiąc – nie podobało mi się to, co wówczas działo się w kraju i stwierdziłam, że trzeba przyłożyć rękę do zmian. A potem zaczęła się zwyczajna robota – taka, jaka była potrzebna.

Ale ryzykowna, głównie w czasie stanu wojennego...

W czasie stanu wojennego chodziło przede wszystkim o zdobywanie i dostarczanie artykułów pierwszej potrzeby zarówno rodzinom internowanych, jak i samym internowanym. Zbieraliśmy więc maki, ryże, pasty do zębów i inne artykuły pierwszej potrzeby i rozdzielaliśmy je.

A potem trzeba było dystrybuować ulotki. Bardzo pomocni byli przy tym w Instytucie Chemii pracownicy warsztatów i sam kierownik hali technologicznej, gdy trzeba było coś ukryć i przechować albo coś ciężkiego przenieść.

Jakiego rodzaju warsztaty były w Instytucie Chemii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika?

Był warsztat mechaniczny, warsztat elektryczny, szklarski. Zwłaszcza w szklarskim wytwarzano prawdziwe cuda – piękne, skomplikowane aparatury do syntez i innych badań chemicznych. Z podziwem patrzyliśmy na tę pracę.

Dodam jeszcze, że parę lat później, po katastrofie w Czarnobylu, też staraliśmy się być pomocni. Produkowaliśmy plyn Lugola. Prof. Zbigniew Wojtczak, ówczesny kierownik zakładu, udostępniał bez ograniczeń jod i potrzebne odczynniki, aby plyn ten trafił do wszystkich osób, które go potrzebowały.

To piękny gest. Wracając do stanu wojennego, chciałabym zapytać, skąd i dokąd przywoziła Pani ulotki.

Razem z p. Teresą Wilczyńską, żoną docenta z Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi, jeździliśmy na zmianę do Warszawy, nie tylko po ulotki – również po książki z drugiego obiegu i różne gadżety, dzięki którym zdobywano pieniądze na ich wydawanie.

Odbierałam te materiały na ulicy Wiejskiej, niemalże spod sejmu. Punktem kontaktowym było mieszkanie pani, która pracowała w Muzeum Ziemi. Jej mąż odwoził mnie na Dworzec Centralny, a potem największym problemem było dźwiganie tych ciężkich tobołów przy wsiadaniu do pociągu i wysiadaniu. Zdarzały się zabawne sytuacje, kiedy stanowczo wzbraniałam się przed próbami pomocy, obawiając się, że ktoś domyśli się, co przewożę.

Segregowanie i dystrybuowanie też należało do mnie – część ulotek odbierał szpital wojewódzki, część pewna szkoła, część Dyrekcja Lasów Państwowych, resztę – różne wydziały uniwersyteckie. To trwało do 1988 roku.

Czy Pamięta Pani jakąś książkę z drugiego obiegu, która wtedy została przyniesiona?

Szczególnie zapamiętałam „Folwark zwierzęcy” i „Rok 1984” Orwella, „Dolinę Issy” Miłosza i „Archipelag Gulag” Solżenicyna.



Fot. 7. Legitymacja członka NSZZ Solidarność.

Był jakiś moment zagrożenia dekonspiracją?

Zdarzył się. Kiedy w pracy segregowałam ulotki dla poszczególnych zakładów, weszła osoba, co do której miałam poważne wątpliwości. Natychmiast to zgłosiłam, a moi następcy wkrótce okazali się jeszcze bardziej zagrożeni. Było to małżeństwo, które prowadziło ożywione życie towarzyskie. Sprzątając po jednym ze spotkań, pani domu znalazła legitymację SB. Miała naiwną nadzieję, że właściciel się zgłosi. Oczywiście, nie zgłosił się. Wkrótce zjawił się milicjant i poprosił o zwrot legitymacji. Na szczęście podczas rewizji nie znaleziono żadnych materiałów, bo znajdowały się w piwnicy, a przeszukano tylko mieszkanie, w którym była zaledwie jedna ulotka. Udało się wytłumaczyć, że została przyniesiona z ulicy.

Potem ten dom był obserwowany, zresztą mój też. Na ławeczce pod moim domem siadał jegomość, który wygłaszał głośne komunikaty. „Jest w mieszkaniu” – słyszałam, stojąc przy otwartym oknie. „Wychodzi. Wyrzuca śmieci” – gdy wychodziłam na konwersację angielską. Oczywiście, donośność jego głosu miała być ostrzeżeniem, dlatego twierdzę, że wówczas przynajmniej część pracowników służb specjalnych robiła wszystko, „żeby nic nie zrobić”.

Nawiasem mówiąc, farba drukarska ulotek miała tak intensywny zapach, że gdy jechałam autobusem, nawet osoby z przeciętnym powonieniem mogły się domyślać, co wiozę.

Bała się Pani?

Trochę tak. Najbardziej bałam się tego, że podczas przesłuchania mogłabym nie wytrzymać jakiejś presji czy przemocy fizycznej i coś jednak powiedzieć. Nigdy nie byłam w takiej sytuacji, nie wiedziałam, jaką miałabym odporność, chociażby na ból. Bogu dziękowałam za każdym razem, gdy wszystko szczęśliwie się odbyło. I bez ofiar.

Czy po pewnym czasie nie miała Pani wrażenia, że etos Solidarności runął?

Tak, szczególnie kiedy dziwni ludzie zaczęli się podszywać pod działaczy, kiedy wszystko zaczęło się komplikować w rywalizacji o sławę, o zasługi. To było bardzo przykre. Teraz nie jestem członkiem Solidarności, po prostu się zdenerwowałam, kiedy przy wsparciu Solidarności do władzy doszli bracia Kaczyńscy.

A kim jest dla Pani Lech Wałęsa?

Jednak przywódcą tego ruchu, autentycznym. Aktom agenta o pseudonimie Bolek nie dałam wiary.

Zostawmy więc te żmartwienia. Chciałabym, żeby jeszcze jedna Pani działalność, o której wiem, nie została w tej rozmowie pominięta. Chodzi o prelekcje wygłaszane na Tygodniu Ewangelizacyjnym w Mragowie.

Tygodnie Ewangelizacyjne w Mragowie miały trochę inną formułę niż Tygodnie Ewangelizacyjne w Dziegielowie. Były bardziej kameralne, gromadziły najwyżej 120 osób, które reprezentowały jednak różne rejony Polski, przede wszystkim głęboką diasporę. Bardzo ciekawe były wykłady, na przykład prof. Jakuba Sławika, prof. Kaliny Wojciechowskiej, interesujące ewangelizacje. Znakomita atmosfera była zasługą pastorostwa, rady parafialnej i bardzo wielu otwartych, życzliwych parafian. Po południu odbywały się seminaria o różnej tematyce. Poproszono mnie, abym na jednym z seminariów powiedziała coś na temat żywienia, również z perspektywy wskazówek biblijnych.

Czy pewne wskazówki starotestamentowe, dotyczące przede wszystkim wędrówki do Ziemi Obiecanej, można przełożyć na realia współczesne?

Izraelici na pustyni musieli najpierw pozbierać mannę, czyli wykonać pewną pracę po nocnym spoczynku, potem coś z pozbieranych ziaren przyrządzić i dopiero wtedy zasiąść do śniadania. Natomiast przepiórki przeznaczone były na posiłek wieczorny.

Przygotowując ten temat konsultowałam się z gastrologiem i z absolwentką Akademii Medycznej, która zajmowała się dietetyką i dietami sportowców. Okazuje się, że poranek to czas oczyszczenia organizmu z produktów ubocznych przemian metabolicznych. Dlatego sportowcy rano wypijają soki, wodę mineralną, za parę godzin jedzą owoce, potem trochę pieczywa, natomiast pokarmy wysokokaloryczne, wysokobiałkowe zawsze podawane są wieczorem, po całym dniu aktywności.

Warto zauważyć, że po solidnym posiłku 80% krwi trafia do obiegu trzewnego, czyli do obsługi przewodu pokarmowego. Tylko najważniejsze funkcje organizmu są wówczas zaspokajane, a mózg nie jest właściwie dokrwiony, człowiek staje się wówczas ociężały, ospały. Nie należy więc zmuszać

dzieci do obfitego śniadania przed pójściem do szkoły, ale trzeba je wyposażyć w porządne drugie śniadanie.

Z tego wynika, że recepta „śniadanie jedz jak król, a kolację jak żebrak” nie służy nam.

Chodzi jeszcze o to, że drugie śniadanie powinno zawierać węglowodany złożone, z których stopniowo powstają cukry proste. Te, spalane w komórkach, dostarczają energii potrzebnej nam do pracy, do życia. Natomiast z substancji białkowych w procesie metabolicznym wytwarzany jest materiał budulcowy naszych tkanek. Źle się dzieje, jeśli spożywamy produkty białkowe o niewłaściwej porze i w zbyt wielkich ilościach, gdyż wówczas narzucamy im rolę paliwa, które spalane, jako produkt uboczny, wydzielają amoniak, silną neurotruczną. Część amoniaku organizm przekształca w łatwo rozpuszczalny mocznik, który usuwany jest z organizmu przez nerki, natomiast nadmiar, na zasadzie mechanizmu ratunkowego, przetwarza w trudno rozpuszczalny w wodzie kwas moczowy, który lokowany jest na przykład w chrząstkach stawów, powodując z czasem ich zwyrodnienia.

Węglowodanowa manna była poranna.

Z pewnością słuchano tego z zainteresowaniem.

Przyznam, że tak. Zostałam też poproszona o powtórzenie tej prelekcji w Żelowie, w środowisku ewangelików reformowanych.

A inne tematy prelekcji?

Na przykład znaczenia i funkcje słów „Pan”, „Imię”. Były to rozważania biblijno-filologiczne. Oczywiście także korzystałam z konsultacji naukowców, specjalistów – prof. Wojciecha Gajewskiego, prof. Kaliny Wojciechowskiej.

Zaskakujące może się wydawać, że nadawanie *imienia* było równoznaczne z powoływaniem bytu w starożytnych tradycjach bliskowschodnich, wcześniejszych niż judaizm.

Ważnym dla mnie tematem było też pojęcie *szczęścia*, które ani w filozofii, ani w psychologii nie ma wyczerpującej definicji. Można ją natomiast odnaleźć w sensie biblijnym. Moją konkluzją było stwierdzenie, że człowiek prawdziwie wierzący nie może być nieszczęśliwy. Skoro *moim szczęściem jest być blisko Boga* – Psalm 73², to nawet wtedy, gdy człowieka spotykają kłopoty czy cierpienia, gdy źle mu się wiedzie, czuje wsparcie Boże i to go wzmacnia i pociesza.

² *Chociaż ciało i serce moje zamiera, to jednak Bóg jest opoką serca mego i działem moim na wieki. [...] moim szczęściem być blisko Boga.*

Nadchodzi rok 2021, który został ogłoszony Rokiem Tożsamości Luterńskiej. Jeśli zgodzimy się co do tego, że tożsamość oznacza poczucie częściowo wspólnoty, a częściowo odrębności, jak określiłaby Pani wyznaczniki tożsamości ewangelickiej?

To bardzo szeroki temat. Jeśli idzie o naszą ewangelicką społeczność, bardzo ważna jest dla mnie odpowiedzialność świeckich za Kościół, za zbor. Przejawia się to w odpowiedniej pracy rad parafialnych, w decydowaniu zboru o wyborze proboszcza, w systemie kadencyjnym władz Kościoła. W budowaniu wspólnoty ważna jest też aktywność pozareligijna i taka ma miejsce w różnych formach. Działają fundacje i organizacje oświatowe w Bielsku, Cieszynie, Gliwicach, Krakowie, Warszawie, Wrocławiu. Działają Polskie To-



Fot. 8. Forum Ewangelickie w Wiśle-Jaworniku, 2004 r. (od lewej Maria Drapella, Astrid Gotowt, prof. Jerzy Buzek).

warzystwo Ewangelickie, ale także Towarzystwo Ewangelickie w Cieszynie, Mazurskie Towarzystwo Ewangelickie, a po kilku latach przerwy wznowiło działalność Toruńskie Towarzystwo Ewangelickie. Dbamy o integrację, o nawiązanie i utrzymywanie kontaktów między ewangelikami z różnych rejonów Polski, o wzajemne wizytowanie się, dzielenie doświadczeniami, spostrzeżeniami. Żyjemy w diasporze, więc musimy poznawać się, żeby czuć, że jesteśmy.

To, o czym Pani mówi, pokrywa się w pełni z ideą Forum Ewangelickiego, które się wyłoniło na początku lat dziewięćdziesiątych. Zresztą była Pani aktywnym członkiem tego ruchu i współorganizatorką VII Forum, które odbyło się w 2001 r. w Toruniu, współorganizatorką XX Forum, poświęconego kobietom, które odbyło się w Wiśle-Jaworniku w 2014 r. Czy mogłaby Pani podzielić się refleksjami na temat Forum – jego dokonań, jego trudności, jego perspektyw?

Zacznę od najważniejszego dokonania: zebrali się ludzie, którym zależy. Zależy na tym, żeby pracować nie tylko dla Kościoła, ale dla społeczności w tym Kościele. Powstały przecież w kilku miastach szkoły ewangelickie różnych typów i przedszkola. Poza tym odbywała się wymiana poglądów, trwały dyskusje nad palącymi problemami, które się pojawiały nie tylko w Kościele, ale i w państwie. Forum zintegrowało dużą część środowiska ewangelickiego.

Zostały nawiązane przyjaźnie między ewangelikami z całej Polski. Forum pozwoliło nam poznać się, przestaliśmy być anonimowi i dzięki temu możemy się wspierać, możemy dzielić się naszymi radościami. Cenne jest też udokumentowanie myśli Forum – na szczęście referaty i głosy w dyskusji większości spotkań zostały opracowane i wydane przez p. Jana Puczka. Mamy trwały ślad ważnej myśli Forum, o tematyce społeczno-kulturalnej i historycznej, a dotyczącej polskich ewangelików.



Fot. 9. Rewizyta Towarzystwa Ewangelickiego z Torunia w Parafii E-A w Sopocie, 2003 r. Astrid Gotowt i Halina Szynkiewicz.

A trudności czy nawet porażki?

Opinie, które wyrażało Forum i które kierowało do Synodu Kościoła, niestety, nie znajdowały odzewu. Coś tu nie zadziało, nie wiem, co...

Sprostuję, był wyjątek. Zostało zauważone przez Władze Kościoła Oświadczenie XX Forum w sprawie ordynacji kobiet. Może niewielkie oddziaływanie opiniotwórcze wynikało z tego, że Forum pozostało spontanicznym ruchem, nie przekształciło się w instytucję?

Bardzo możliwe. Niemniej myślę, że spontaniczny ruch ma przewagę nad instytucją. Do instytucji często przychodzą urzędnicy, a nie pasjonaci.

Czy duch Forum jeszcze trwa? Bo Forum się jeszcze odbywa, ale można powiedzieć, że grupa inicjatywna już właściwie jest wygasająca.

Porażką Forum było też to, że nie potrafiło przyciągnąć młodych – młodzi, studentów, chociaż wiem, że kilkakrotnie podejmowano takie próby, niestety bezskuteczne. Powstała luka pokoleniowa, w związku z tym Fora, które się teraz odbywają, często są organizowane właściwie przez rady parafialne, a to wiąże się z inną tematyką i błędną te problemy, które są istotne dla naszej społeczności.



Fot. 10. VII Forum Ewangelickie w Toruniu, 2001 r., Sala Mieszczańska Ratusza (od lewej Dagmara Berndt-Jankowska, prof. Jerzy Ziółko, Astrid Gotowt).

Wspomniane już Forum z 2001 roku było chyba pierwszą powojenną manifestacją obecności ewangelików w Toruniu.

To Forum obradowało w Sali Mieszczańskiej Ratusza, w której, jak zaznaczył prof. Janusz Mallek podczas inauguracji, wiszą portrety samych ewangelików, wyjąwszy Kopernika.

Ale nie było to pierwsze uwidocznienie, na szerszą skalę, obecności ewangelików w Toruniu.

Gdy na początku lat dziewięćdziesiątych powstało Towarzystwo Ewangelickie – prezesem był mec. Dawid Binemann-Zdanowicz, wiceprezesem prof. Mallek, ja sekretarzowałam – postanowiliśmy zorganizować z okazji Pamiętki Reformacji sesję naukową. Zaprośiliśmy świetnych prelegentów i rozprawiliśmy mnóstwo zaproszeń. Roznosiliśmy je do wszystkich toruńskich

uczelni, do zaprzyjaźnionych i sąsiedzkich parafii katolickich, do parafii prawosławnej. Zaprosiliśmy Chrześcijańskie Stowarzyszenie Studenckie, Klub Inteligencji Katolickiej, alumnów z Seminarium Duchownego...



Fot. 11. Nabożeństwo na zakończenie VII Forum Ewangelickiego w Toruniu, 2001 r. (od lewej mec. Dawid Binemann, Jan Puczek, Astrid Gotowt, prof. Paweł Puczek, prof. Jarosław Świderski, Blanka Świderska).



Fot. 12. Uczestnicy VII Forum Ewangelickiego w Toruniu, 2011 r., przed kościołem ewangelicko-augsburskim św. Szczepana.

Przyszli?

Tak, cały pierwszy rok, z rektorem. Kaplica, która służyła nam za salę, była wypełniona do ostatniego miejsca, włącznie z emporą.

Czy pojawiły się jakieś problemy organizacyjne?

Założyliśmy, że jako Towarzystwo Ewangelickie, absolutnie nie robimy niczego bez powiadomienia i akceptacji Rady Parafialnej oraz Proboszcza. Wprawdzie zastrzeżaliśmy od razu, że całą organizację bierzemy na siebie, żeby nie obciążać, wiadomo, i tak zajętych osób. Trzeba było wytłumaczyć i Radzie Parafialnej, i księdzu Proboszczowi, że zgrabniej będzie, jeśli Towarzystwo wystąpi z zaproszeniem, bo jeżeli zdarzyłaby się odmowa – a zaproszony był także Biskup diecezji rzymskokatolickiej i nie odmówił – to despekt spotka Towarzystwo, a nie Parafię.

I też zawsze, kiedy Parafia potrzebowała wsparcia w pracach organizacyjnych, porządkowych, członkowie Towarzystwa, jako parafianie, brali w nich udział.

Wspaniała inicjatywa. Jest co wspominać. A jak się zrodził pomysł budowania relacji z odmiennym religijnie obszarem?

Gdy po śmierci mamy zdecydowałam przenieść się formalnie do toruńskiej parafii, bo nie wyjeżdżałam już na weekendy do Zduńskiej Woli, zauważyłam, jak bardzo parafianie są zamknięci, jakby zastraszeni nieewangelickim otoczeniem. Zwrócili na to uwagę też i mec. Binemann, i prof. Mallek, i p. Edyta Berndt, która była kuratorem Parafii. Zastanawialiśmy, jak wyjść z tego getta. Dlatego powstało Towarzystwo Ewangelickie i dlatego podejmowaliśmy takie inicjatywy, a jedną z nich było też VII Forum.

Ale zdarzyło się tak, że na kilka lat trzeba było działalność Towarzystwa zawiesić...

Czy podjęłaby Pani próbę podania recepty na pielęgnowanie ewangelickiej tożsamości?

Spróbuję, chociaż to niełatwe. Myślę, że trzeba i w rodzinach, i w parafiach podtrzymywać te wartości, które są naszą tradycją. Ci ewangelicy, którzy wiedzą, że praca to nie jest dopust Boży, tylko powołanie, które pozwala im poczuć własną wartość, dostrzegają sens istnienia również w wynikach pracy. Bo praca powinna być tak wykonywana, żeby człowiek czuł, że coś sobą prezentuje i jest potrzebny.

Podzielię się dwoma wspomnieniami. Właśnie Forum pozwoliło mi dostrzec, że w tak nielicznej społeczności, jaką są ewangelicy w Polsce, udział osób wykształconych, piastujących odpowiedzialne funkcje i stanowiska, jest bardzo duży.

Właśnie – prof. Ewa Chojcka powiedziała na którymś Forum: „mniejszość jak drożdże”.

Tak. A drugie wspomnienie dotyczy lat wcześniejszych. W moim liceum w Zduńskiej Woli, które *nota bene* powstało z inicjatywy dwóch proboszczów,



Fot. 13. Astrid Gotowt w chwili relaksu między licznymi zajęciami, 2006 r.

katolickiego i ewangelickiego, odbywał się zjazd absolwentów, również absolwentów przedwojennego Gimnazjum im. Kazimierza Wielkiego. Należał do nich ksiądz profesor Woldemar Gastpary. Ze zdumieniem, ale i dumą patrzyłam na to, jakim szacunkiem jest otaczany, ile osób z nim serdecznie rozmawia, z całą świadomością, że to ewangelik. Pomyślałam wtedy, że ewangelicy mogą być szanowani, nie tylko szykanowani, i że kiedy jest się „kims”, łatwiej budować prestiż naszej wspólnoty.

O jakim szykanowaniu wspomniała Pani?

Miałam takie doświadczenia. Kiedy wreszcie w moim mieście oddano ewangelikom kościół, wataha dzieci wpadała podczas nabożeństwa, krzycząc i tupiąc. Potem, żeby temu zapobiec, zamykano bramę, gdy zaczynało się nabożeństwo, ale to nie przeszkadzało w wybijaniu szyb w oknach.

Wracam jednak do tej trudnej próby recepty. Oprócz wpajania takich wartości, jak rzetelność, uczciwość, ogromną wagę przykładano do wykształcenia. Uczono szacunku dla wykształcenia i wiedzy.

Nawet w bardzo biednych rodzinach ewangelickich dbano o to, żeby dzieci kształciły się, a jeżeli były uzdolnione, żeby kształciły się jak najpełniej. Mnie wpajano to nie tylko w domu, ale i na lekcjach religii.

Wydaje mi się też, że duże znaczenie ma budowanie wśród dzieci i młodzieży dumy, nie pychy, ale dumy z tego, że jest się ewangelikiem, że z tej społeczności wywodzi się tylu ludzi ważnych dla polskiej kultury, dla polskiej hi-

storii, medycyny i innych dziedzin. Chodzi o to, żeby młodzi ludzie nie odczuwali wstydu z powodu swej odrębności, żeby potrafili przeciwstawić się tej większościowej presji. I dlatego sami muszą poczuć swoją wartość, a to buduje się poprzez edukację, poprzez właściwe postawy moralne, poprzez pracę.

Tożsamość jest jednak nieodłącznie związana z korzeniami. Jak wiemy, w historii polskiego ewangelicyzmu splata się kilka nurtów: przede wszystkim jest nim nieprzerwanie, od Reformacji do dziś, polskojęzyczny luteranizm ziemi cieszyńskiej, inny to potomkowie tak zwanych „Polaków z wyboru”, czyli spolonizowanych przybyszów-obcokrajowców, w większości Niemców. Wśród ewangelików reformowanych ważną grupę stanowią potomkowie przybyłych do Polski braci czeskich, a także repatrianci z utraconych terenów Jednoty Wileńskiej...

W jakim nurcie mieszczą się Pani korzenie?

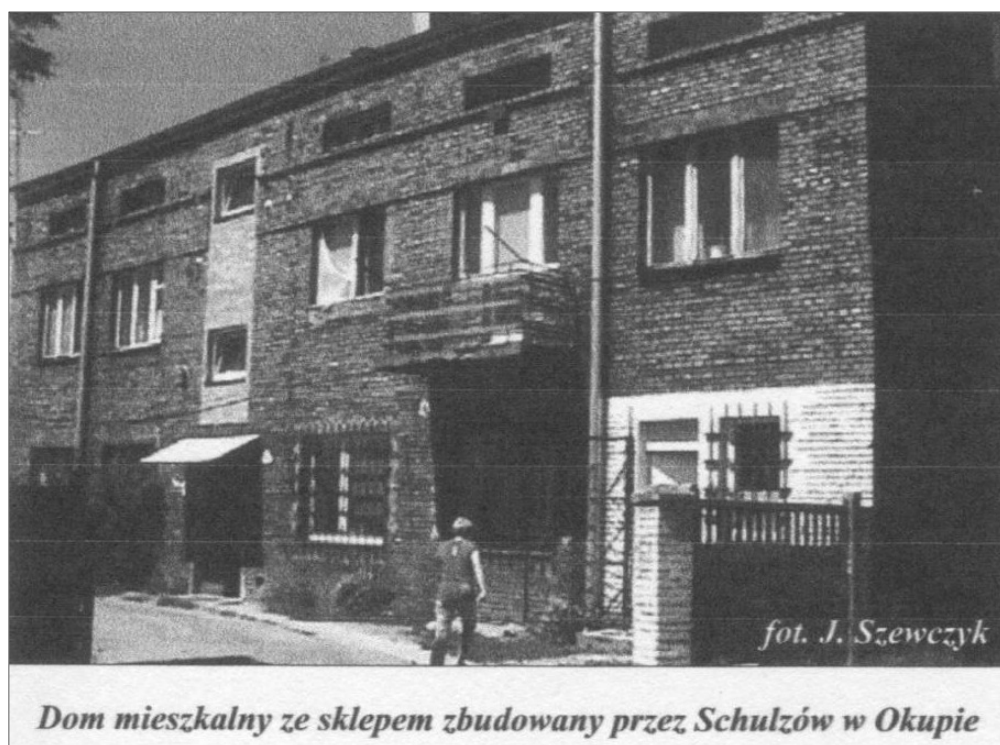
W nurcie spolonizowanych Niemców, którzy w końcu XIX w. przywdędrowali tutaj z Saksonii.

Z jakiego powodu przybyli? Za chlebem?

Niekoniecznie, bo jak na tamte czasy byli dosyć dobrze wykształceni. Przybyli, aby kupić ziemię. Wówczas w zaborze rosyjskim, po powstaniu styczniowym, część skonfiskowanych majątków otrzymali dożywotnio zasłużeni carscy wojskowi, a po ich śmierci te majątki władze Kraju Nadwiślańskiego przejmowały i wyprzedawały po niewygórowanych cenach. Prawdopodobnie ta możliwość ich zachęciła. I tak w okolice Łodzi przyjechała grupa osób spokrewnionych i spowinowaconych. Byli to Schultzowie, Kerlowie i Nikołai'owie. Mój dziadek po kądzieli, Adolf Schultz, posiadał ziemię i młyn w Okupie Fabrycznym. Inna część rodziny osiedliła się w Okupie Małym i Okupie Wielkim.

I tak członkowie rodziny uprawiali ziemię, a mieli jej sporo, bogacili się i rozszerzali działalność. Wiem, że uczestniczyli w budowie drogi na trasie Warszawa – Poznań – Kalisz. W młynie została uruchomiona pierwsza w okolicy turbina wodna. W Okupie Wielkim założono Ochotniczą Straż Pożarną, której w okolicy w ogóle nie było, zakupiono nawet motopompę ze składek i loterii fantowych, zbudowano remizę strażacką, założono orkiestrę dętą. W latach dwudziestych mój dziadek po mieczu, Wilhelm Schultz, odważył się otworzyć skład materiałów budowlanych i opału. Potem, ponieważ Łódź prężnie się rozwijała, założono rodzinną firmę przewozową, która przywoziła z łódzkich tkalni surowe materiały do wybielenia. Dziadek po kądzieli udostępnił w tym celu łakę nad rzeką Grabią. Tkaniny rozkładano na tejże łące,

polewano wodą, bo gdy były mokre, bardzo dobrze bielaly na słońcu. Wybielone materiały trzeba było odwieźć do Łodzi, a była to wyprawa mężczyzn, uzbrojonych. Po I wojnie grasowały w tych okolicach bandy, które napadały na różne transporty, stąd konieczność takiej ochrony.



Fot. 14. Źródło: „Panorama Łaska”, 2015, nr 4, s. 22.

Czy bielenia również trzeba było strzec?

Nie, tego nie niszczone.

Z tej opowieści wynika, że rodzina prosperowała znakomicie i stworzyła wiele miejsc pracy dla okolicznej ludności.

Dobrze prosperowała i bardzo się wspierała. W Okupie Wielkim zbudowano też fabrykę włókienniczą, która tuż przed II wojną zatrudniała ponad 100 osób, a jeszcze wcześniej zakupiono krosna, na których okoliczni mieszkańcy pracowali w swych domach. Tuż przed wybuchem II wojny zakupiono maszyny do wyrobu koronek, ale ta produkcja już nie zdążyła się rozwinąć.

Jaki wpływ na losy Pani rodziny miała II wojna światowa?

To bardzo skomplikowane i trudne. Wiem, że rodzina zapłaciła wysoką łapówkę, aby mój ojciec nie został skierowany na front wschodni. Gdy został wysłany na front włoski, wykorzystał pierwszą okazję, aby oddać się do niewoli

wojskom alianckim. Po weryfikacji wstąpił do armii Andersa. Po wojnie wrócił do Polski, ale musiał się ukrywać przed aresztowaniem przez UB. Ostatecznie wiosną 1946 roku przez zieloną granicę przedostał się do strefy zachodniej Niemiec. Spotkaliśmy się dopiero w 1964 roku w strefie przygranicznej w NRD.

Część rodziny wyjechała do Niemiec przed końcem wojny. Bardzo namawiano do wyjazdu moją mamę, ale odmówiła – nie chciała pozostawiać swojej matki, bardzo słabo znającej język niemiecki i ja już byłam na świecie. Po latach ujawniono, że w młynie rodzina ukrywała Żyda, znanego z imienia i nazwiska, że świadczyła pomoc, m.in. dając żywność mieszkańcom Okupa.

Po wojnie wszystko przepadło. Mama podjęła pracę w fabryce swego teścia, która nie była już jego fabryką. Spotykały ją szykany ze strony UB. W 1950 r. przeprowadziłyśmy się z mamą, babcią i siostrą do Zduńskiej Woli, leżącej w sąsiednim powiecie. Tam nasza sytuacja w pewnym stopniu poprawiła się – nie było już osobistych wrogów czy zawistnych osób. Mama podjęła pracę w fabryce tkackiej, w dziale płac.

Czy wiadomo, w jakim momencie rodzina stała się polskojęzyczna?

Przez pewien czas była nawet trójjęzyczna, bo oprócz języka polskiego trzeba było opanować rosyjski. W domu dziadka po kądzieli szybko porzucano język niemiecki, bo on ożenił się z Polką, katoliczką, która konwertowała na ewangelicyzm i do końca życia gorliwie czytała Biblię. Zresztą dziadek uczył się języka polskiego w szkole, oczywiście jako języka obcego. Natomiast w rodzinie dziadka po mieczu dłużej pielęgnowany był język niemiecki. W odrodzonej Polsce, po 1918 r., dziadek po kądzieli przyjął obywatelstwo polskie, zrzekając się niemieckiego, natomiast drugi dziadek, przyjmując obywatelstwo polskie, zachował niemieckie. Z kolei mój ojciec mówił piękną polszczyzną, miał oczywiście polską maturę. Ja byłam „dwujęzyczna” tylko we wczesnym dzieciństwie... Ale w szkole na lekcjach języka niemieckiego nieraz słyszałam: „Ty mówisz z dobrym akcentem, bo jesteś Niemką”.

Dlaczego „była Pani Niemką”?

Bo byłam ewangeliczką. Stawiano znak równości między wyznaniem i narodowością.

Próbowała Pani przekonać, że tak nie jest?

No właśnie, zarzuciłam uczciwą naukę języka niemieckiego, żeby udowodnić, że Niemką nie jestem.

Spotykały Panią z powodu tego, skądinąd znanego, stereotypu duże przykrości, czy takie, które można było ewentualnie zlekceważyć?

Różne. Na przykład, gdy byłam w trzeciej klasie szkoły podstawowej, dostałam od mojego ojca chrzestnego, który mieszkał w Niemczech, teczkę do szkoły. W tamtym czasie była to naprawdę ładna teczka. Pewnego dnia moja teczka została zalana atramentem przez koleżanki i kolegów, z komentarzem: „Tej Niemce się należy...” Nosilaam potem tę poplamioną teczkę z podniesionym czołem.



Fot. 15. Z mamą Johanną Schultz.

Pod tym względem łatwiej żyło się tuż po wojnie w Okupie, bo tam pozostało wówczas jeszcze sporo ewangelików. Na nabożeństwa jeździło się do Łasku, do kościoła, w którym zostałam ochrzczona. Urodziłam się wprawdzie w Łodzi, ale mamie, gdy ojciec był już na froncie zachodnim, łatwiej było mieszkać z rodziną u dziadków przy młynie, ze względu na opiekę czy na aprowizację...

W Łasku był piękny drewniany kościółek ewangelicki.

Dzisiaj jeszcze istnieje?

Istnieje. Jest kościołem katolickim, utrzymanym w dobrym stanie, po pracach konserwatorskich.

Czy w miarę dorastania stawiała się Pani w oczach rówieśników „coraz mniej Niemką”?

Tak. Z jednej strony byłam coraz bardziej odporna, a nawet dumna ze swojej wyznaniowej odrębności. Mama tłumaczyła mi, że przede wszystkim nie można dać się sprowokować, a jeśli puści się przytyki mimo uszu, po jakimś czasie ustaną. Z drugiej strony, ponieważ byłam niezła z matematyki, fizyki i chemii, często proszono mnie o pomoc i wtedy już nie wypadało odpłacać się złośliwością.

Miała Pani przyjaciółkę?

Tak, bardzo bliską. Siedziałyśmy w liceum w jednej ławce, razem uczyłyśmy się, spędzałyśmy z sobą dużo czasu.

Była ewangeliczką?

Nie. W szkole oprócz mnie była tylko jedna ewangeliczka, w równoległej łacińskiej klasie. A przyjaciółka była córką lekarza, z gorliwej rodziny katolickiej, ale bardzo otwartej. Znakomicie rozumiałyśmy się. Inscenizowałyśmy po lekcjach różne dramaty omawiane akurat w szkole: Szekspira, Słowackiego, Fredry. Oczywiście nie dla publiczności. Nasz rocznik uczył się jeszcze historii starożytnej jako odrębnego przedmiotu, więc poznawaliśmy sztuki antyczne. Do dziś pamiętam naszą inscenizację „Antygony”. W dwuosobowej obsadzie odegrane zostały role wszystkich bohaterów i chóru,

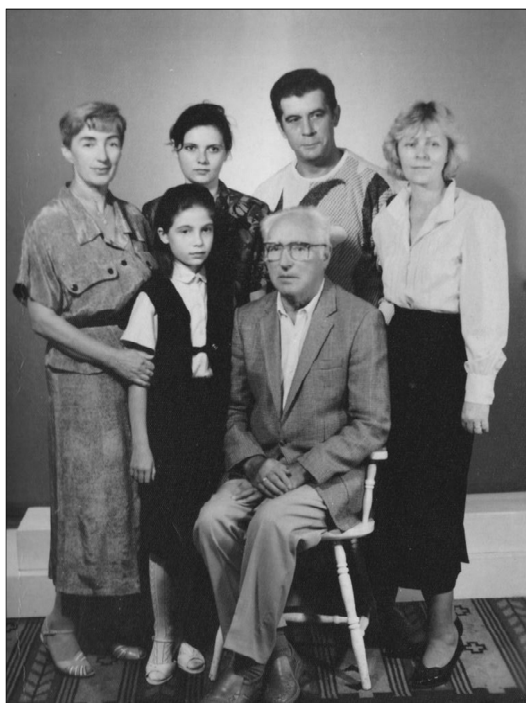
Więc mam też mile wspomnienia z lat szkolnych. W ogóle moja klasa lubiła naszą szkołę. Spotykaliśmy się też w czasie wakacji, mniej więcej od połowy sierpnia, na boisku szkolnym, gawędziliśmy. Woźny, pan Michalski, pożyczal piłkę i graliśmy w siatkówkę.

Nie było ważne to, że brakowało często podstawowych rzeczy. Nawet podręczniki szkolne zdobywaliśmy z trudem, więc bardziej były cenione. Kiedy na lekcje historii mieliśmy przynieść stukartkowe zeszyty, niedostępne w sklepach, zszylałam kilka zeszytów cienkich...

Zapewne na studiach już „była Pani Polką”...

Wtedy nie było już potrzeby deklarowania wyznania. Choć i w szkole zdarzył się sympatyczny epizod. Po 1956 roku przez pewien czas lekcje religii, oczywiście katolickiej, odbywały się w szkole. Mama doradziła mi, żeby nie wychodzić i posłuchać, o czym się na tych lekcjach mówi. Przeważnie większość uczniów rozmawiała między sobą, a ja przyjaźnie dyskutowałam z ks. Dembowskim, który doskonale wiedział, jakiego jestem wyznania.

Czy tożsamość narodowa była czymś istotnym w Pani rodzinie? Czy w jakimś momencie zaczęliście się określać jako Polacy „z pogranicza” lub „z wyboru”?



Fot. 16. Zdjęcie rodzinne z ojcem, Wilhelmem Schultzem, siostrą, szwagrem i siostrzenicami, 1991 r.

Raczej nie. Nie był to temat rozważań czy dyskusji. Formą deklaracji było przyjęcie polskiego obywatelstwa po 1918 r. Mówiło się o tym, że trzeba być człowiekiem pracowitym, uczciwym, pomocnym dla bliźnich.

Nieraz można usłyszeć, i przeczytać, że nasz etos ewangelicki staje się pojęciem historycznym.

To temat bardzo trudny, bardzo delikatny. Trzeba wziąć pod uwagę wiele zmian demograficznych i cywilizacyjnych. Z jednej strony nasza społeczność się kurczy, z drugiej, na szczęście, przybywają nowi... Liczebnie nasza społeczność jest w miarę stabilna, ale nie jest to stabilność oparta na tradycji rodzinnej. Nieraz konwertytom, którzy są bardzo zaangażowani, bardzo wartościowi, jednak trudno się odnaleźć w pewnych sytuacjach.

Dlaczego polski ewangelicyzm wykrusza się pokoleniowo? Często dzieci parafian nie są już ewangelikami, wnuki parafian też nie. Konsekwencje małżeństw mieszanych wyznaniowo nie są chyba jedyną przyczyną.

Prof. Bogusław Milerski żartobliwie mówił na spotkaniu z okazji Święta Reformacji, że teraz jest tak szeroka oferta różnych możliwości realizowania się, a wśród nich życie religijne, uczestnictwo w życiu kościelnym, to tylko jedna z mnóstwa innych możliwości.

Oczywiście, ale to aspekt wypełniania czasu, a nie budowania duchowości...

Jednak w mojej parafii na szkółkę niedzielną uczęszcza dużo dzieci, młodzież po konfirmacji, choć mamy niewielu konfirmanów, nie znika. Powracają też wnuki ewangelików, i to z całymi rodzinami. Myślę, że mimo zagrożeń etos ewangelicki przetrwa.

To budujące. Miejmy nadzieję, że Rok Tożsamości Luteranckiej będzie impulsem do renesansu etosu polskiego ewangelicyzmu

Dziękuję za rozmowę. Dziękuję za szczere, odważne i głębokie refleksje. Życzę Pani Bożego błogosławieństwa w najpełniejszym znaczeniu tych słów.

Rozmawiała Maria Drapella